

JÓZEF LASOŃ.

Dwunasty.

(Ze wspomnień Legionisty).

2

Na czele patroli sanitarnej kroczy śmiało doktor-kobieta... dr. Wisłocka z Krakowa, rannych na miejscu w rowach opatruje, ciężko rannych z rowu podnosi i sanitetom każe ich brać na noszach.

Dzielna Polski córka!

Ni świst kul, ni huk granatów, ni żelazo pękających szrapneli nie przestrasza dzielnej Polki. Tak, jakby nieczuła była, nie widziała, że bój straszny wre. Przed sobą widzi tylko obowiązek i nic więcej.

Cześć Ci, córko Polskiej!... Cześć!...

Za pozycją szybkostrzelnych armat usadowił się tren i spełnia swój obowiązek. Ciężki to także obowiązek. Wśród gradu kul amunicję wieźć, trudne to także zadanie.

Rozszalały się armaty, pluja żelazem na siebie nieustannie, zwycięstwo chcą wzajem sobie wyrwać, wywalczyć.

Do komendanta V. batalionu, Ryńskiego, patrol, wysłana w nocy, przybiega, jeńców ze sobą prowadzi.

Zdaje sekcyjny krótki raport, kończy go słowami:

— Obywatelu komendancie! Ważną wiadomość jeńcy głoszą!

— Jaką? — nerwowo pyta Ryński.

— Trzy pułki piechoty moskiewskiej w nocy w pomoc przyszło, na prawe skrzydło całą siłą chcą uderzyć!

Pojmani jeńcy słowa jego potwierdzili.

— Trzy pułki?

— Tak!

Komendant zamyślił się przez chwilę głęboko. Czterykroć silniejszego wroga przed sobą ma polski pułk, nie sposób zwalczyć wroga, tembardziej, że dalsze posiłki lada chwila przemaszerują.

Chwilę w zadumie stoi.

Jeńców do taboru każe wieść, ordynansa na prawe skrzydło śle, że cofnąć się muszą, a sam na okopy wskoczył, stalowym głosem zakomenderował:

— Bezpiecznik! Bagnet na broń!

Niespodzianie na prawe skrzydło trzy pułki rosyjskie wpadły, masą całą zwały się i zażarcie wdzierają się w naszą linię. Chwieje się skrzydło, widać, że zaczyna słabnąć, że niedługo utrzyma się.

Odwrócił się komendant Ryński, spojrzał ostro na swoich żołnierzy i komendę dał:

— Chłopczy! wąwóz obsadzić! Za mną do ataku! Hurra! hurra! hurra!

— Hurra! — wydarł się okrzyk z piersi żołnierzy, za wodzem swoim zerwali się i śmiało na wroga z boku uderzyli.

Zmieszali się Moskale, nie spodziewali się tak śmiałego ataku i tak ryzykownego.

Przez ten czas Ryński z V. batalionem wąwóz obsadził i Moskale do chwilowego cofnięcia się zmusił. Zagroził drogę Moskalom. Kompanie nasze poczęły się wycofywać. Natarli powtórnie z ogromną siłą, aż tu od prawej strony ukryty pluton salwę karabinową do nich dał.

To plutonowy Szpunar Bolesław ze swoimi Wieliczaniem za daleko się z plutonem posunął, a widząc ciężką sytuację batalionu, salwę do Moskali dał, chwilowo wybijając ich z orientacji.

Ale spostrzegli wkrótce, że tam jest garstka tylko żołnierzy; zwartem kołem poczęli otaczać Szpunara. Równocześnie przeważająca liczba rzuciła się na ukryty w wąwozie batalion Ryńskiego.

Sytuacja była straszna.

Strzelano do siebie z pozycji stojącej na odległość piętnastu kroków, gdzie każdy strzał był prawie śmiertelny.

Ale za wszelką cenę wroga powstrzymać trzeba, póki pułk nie wycofa się zupełnie. Zrozumieli to żołnierze i jak mur stanęli przeciwko Moskalom, strzelając i na przemian odpierając ich ataki.

Rozpaczliwą obronę przedsięwziął Szpunar, otoczony dokoła Moskalami. Zagalopował się za bardzo ze swoim plutonem, za bardzo wysunął się przed batalion. Moskale, krzycząc, wzywali do poddania.

Dojrzał to komendant Ryński, w pomoc skoczyć chciał. Wysunął się na front, do szturmu na bagnety prowadzić zamierzał, aby ocalić pluton Szpunara.

Zobaczyli Moskale naszego komendanta, chmara rzucili się na niego, krzycząc:

— Łapać komendanta batalionu!

— Łapać żywcem!

— Łapaj! Łapaj!

Śmiercią jednak przypłaciła chmara żołdaków zamiar ujęcia żywcem polskiego komendanta batalionu.

Podbiegli polscy żołnierze, jak lwy rzucili się na otaczających komendanta Moskali, bagnetem błyskawicznie ciąć poczęli, oswobodzili Ryńskiego z rąk Moskali, a wiara za nimi silny ogień dając, położyła trupem mnóstwo nieprzyjaciela.

Kompania wycofała się w porządku, tylko komendant Ryński ze swoim batalionem pozostaje, aby powstrzymać jeszcze przez kilka chwil wściekle atakującego wroga.

A jeszcze pluton Szpunara w walce był. Pomimo kilkakrotnych nawoływań ze strony Moskali, poddać się nie chcieli, usiłując przebić się przez otaczający ich pierścień wroga i dołączyć się do batalionu.

Pod silnym naporem bagnatów dzielnego plutonu rozdarł się wreszcie pierścień, nadzieja dotarcia do swoich zabłysła.

— Za mną! — krzyknął Szpunar, i w tejże chwili, ugodzony odłamkiem szrapnela w brzuch, padł. Żołnierze, cofając się, nie mieli możności zabrania go. Widzieli, jak podniósł się, chciał za nimi iść, ręką przytrzymując sobie poszarpany brzuch. Nie wiadomo, czy padł, czy do niewoli się dostał.

Skierowali Moskale ogień artylerii w wąwóz, w batalion Ryńskiego. Trzeba było się cofnąć, ukryć w gąszczach i stamtąd powstrzymać wroga.

I ciężkie wówczas straty poniósł V. batalion. Ale do końca musiał wytrwać i ochronić tren całkowicie, dopuścić do wycofania się innych batalionów z ognia, a dopiero ostatni mógł sam zejść z placówki, choćby z dużymi stratami, ale chroniąc inne bataliony.

Ruszył przodem tren.

Jadą ciężko naładowane fury z amunicją, koła zapadają się w rozmokłą ziemię.

Sierżant taboru, Durek, na srokiego konia wsiadł, w galopie przebiega obok wlokących się powoli fur, kontroluje, czy wszystko jest w porządku, przynagla do szybszej jazdy.

W bezpieczne miejsce trzeba tren ukryć, bo tam na wozach amunicja, mógłby ją zdobyć wróg.

Za pozycję szybkostrzelnych armat daleko odbiegł, na drodze do Janowic stanął, czekając na rozkaz, jaki przyjdzie.

Przybiegli zdyszani ordynans, przynosząc rozkaz, że fur potrzeba, aby rannych żołnierzy z pola walki można było zabrać.

Za chwilę nadbiegła dr. Wisłocka, z zrozpaczoną twarzą poczęła mówić:

— Sierżancie! Na miłość Boską, fur kilka natychmiast, rannych moc, z pola ich trzeba zabrać.

— Obywatelko! Trudno będzie z niemi podjechać — zwrócił uwagę sierżant.

— Musimy, musimy!

Piorunem zwalili żołnierze prowiant z wozów, pozostały tylko wozy z amunicją. Tego za żadną cenę nie wolno porzucać!

Wskoczyła Wisłocka na furę, za nią sanitariusze, galopem ruszyli konie gościńcem, wydostając się na linię, kędy poczęły pociski armatnie padać.

Nad nimi w górze pękają szrapnele, żelazo sypie się, granaty ryją z hukiem ziemię.

Spienione konie przy każdym wybuchu zrywają się, potargać chcą krępujące je rzemienie. Zsiedli żołnierze, za uzdy je prowadzą.

— Tam, za ten lasek skierować konie — komenderuje Wisłocka.

Z drogi, przez szosę przejechały wozy, po miękkiej ziemi dają powoli do wskazanego miejsca.

W ostatni wóz z hukiem wpadł granat, rozrwał go w kawałki, poranił dwóch żołnierzy. Pokaleczone konie, uwolnione od krępujących je rzemieni, jak szalone pobiegły przez pola, rżąc przeraźliwie.

— Naprzód! naprzód! — nieustannie komenderuje Wisłocka.

Dojechały konie z mozołem do lasu, bezpiecznie ukryły się. Ale dopiero teraz rozpoczęła się praca właściwa dzielnej Polki i sanitariuszy.

Nie zważając na śmiertelne pociski, na linię bitwy dotarli, a stąd, pod jej dowództwem, zbierając ciężko rannych, na noszach do lasu odnosili.

Tu już nie odwaga gra rolę, ale bezwzględna bohaterstwo, która nie zważa na nic, widzi przed sobą tylko jedno: obowiązek. Tu, gdzie każda sekunda śmieć przynieść może, zaiste tylko hartowne, pełne poświęcenia dusze wytrwać mogą.

Widzieli to polscy żołnierze, doświadczyli tego ranni i dlatego imię tej dzielnej kobiety powtarzane jest z wielką czcią i podziwem.

Przez cały czas walki czynną była, a rzecz można śmiało, iż niejedno serce wówczas skrzepiła odwagą i zagrzała do walki swem bohaterskim spełnieniem obowiązku!

I tabor ciężką podczas walki miał pracę.

Nieustannie czynny sierżant Durek wysyłał żoł-

nierzy z amunicją na linię bojową, sam pierwszy na czele tam, gdzie najtrudniej donieść ją było żołnierzom.

Bez najmniejszej trwogi przebiegali żołnierze ze świeżymi ładunkami naboju. Choć wielu padło, nie wstrzymało to jednak innych od spełnienia obowiązków z taką samą odwagą.

— Coś źle jest — mruknął Durek do komendanta taboru po chwili, kiedy Wisłocka zabrała kilka wozów.

Komendant taboru przez lornetę obserwował bitwę. Po chwili rzekł:

— Zdaje się, cofać się musimy!

— Czemu?

— Czwarty batalion opuścił pozycję, Ryński ze swoim batalionem w wąwozie. Coś źle!

Wydobył sierżant lornetę, przez długą chwilę wpatrywał się w bitwę.

— Coś źle!

— Ehe!

— Widzę Wisłocką ze sanitariuszami. Prawie przy linii bojowej jest. Dzielna kobieta!

— Gdzie?

— Na lewo od wąwozu.

Chwila milczenia. Po chwili krzyknął komendant:

— Sierżant!

— Rozkaz!

— Konie gotowe do drogi?

— Gotowe! Pięć fur Wisłocka zabrała. Prowiant na ziemi leży!

— Trudno, trzeba zostawić! Przygotować wszystko. Lada chwila musimy się cofać.

Przez chwilę smutek wielki rozlał się na obliczu sierżanta, poczem przemienił się w jakąś wielką zaciętość i srogość.

— I tak nie damy się! — mruknął pod nosem.

Skierowano wozy na drogę, żołnierze stanęli przy koniach, i tylko od komendanta znak, ruszą.

— Psiakrew, tyle krwi, cofać się musimy — zaklął sierżant.

— Jeszcze niewiadomo — mruknął komendant — Zwały się nagle wielkie siły moskiewskie, ale i nam pomoc idzie. Trzeba im na parę chwil ustąpić.

Komendant bacznie obserwował linię bojową. Od czasu do czasu marszczyło się jego czoło, to znów radość jakaś rozlała mu się na twarzy.

Spostrzegł widocznie, jak te chłopięta w ogniu strasznym stoją, walczą jak lwy.

Zadudniło na drodze. To Wisłocka uwozi rannych, przejeżdża obok trenu.

— Cześć obywatelko! — woła komendant.

— Cześć obywatelce! — wołają żołnierze.

— Cześć wam! cześć! — z uśmiechem odpowiada, kiwając ręką z wozu.

Na siwym jej mundurze znać ślady krwi. Znać, pracy dużo było, bo i oblicze przemęczone, tylko oczy błyszczą, jak dwa czarne dyamenty, energię wielką w nich znać, odwagę i miłość Ojczyzny.

A tu, obok nich, usadowiła się artyleria austriacka, nieustannie wali z armatnich paszcz, pluje żelazem na nacierającego wroga.

Ziemia się trzęsie, drży od huku, zdaje się, jakby lada chwila zapaść się miała w tajemniczą przepaść.

Nie słychać w tym piekielnym chaosie słowa komendy, żołnierze prawie że z oczu komendanta czytają rozkaz, komendę.

— Coś źle — szepcze sierżant, chwyciwszy się nerwowo na jasną brodę.

Artyleria widzi rozpaczliwą obronę wąwozu, bohaterkie wstrzymywanie nieprzyjaciela, aby pułk mógł się wycofać, lecz ognia tam nie może ślać.

W wielkiej zaciętości wżarły się w siebie dwie linie wojsk, zmieszaly się, pochwyciły, jak olbrzymy dwa, tarzają się, jeden drugiego przemódz chce.

Dać strzał — swego można trafić.

Ale też zato w rezerwie pociski śle, nieustannie pluje do nich szrapnelami i granatami.

— Hej, sierżant! Sierżant!

— Rozkaz!

— Naprzód! Cofamy się!

Podcięto konie, potoczył się tren po gościńcu, ruszyły za nim kompanie piechoty.

Cofnął się polski pułk z pod przeważającej liczby nieprzyjaciół, usunął się wkońcu i V. batalion, nierozstrzygnięty i nieskończony pozostał jednak bój.

Nadciągły pułki armii austriackiej, rzucono się z zaciętością na wroga, który cofać się musiał ze zdobytych pozycji i na dawnych pozostać. Wygnany został wkrótce i z tych pozycji; pod Tarnowem okopał się.

Dzień Bożego Narodzenia nastał.

Dużo w dniu tym legło żołnierza, dużo polskiego wojownika zginęło, daleko większe jednak straty miał nieprzyjaciół.